

# **Prawa dziejowe**



Feliks Koneczny

# **Prawa dziejowe**



**Warszawa 2020**

ISBN:

978-83-65546-75-3

Niniejsze wydanie książki bazuje na wydaniu londyńskim z 1982 roku.

Wydawca:

Wydawnictwo PROHIBITA

Paweł Toboła-Pertkiewicz

[www.prohibita.pl](http://www.prohibita.pl)

[wydawnictwo@prohibita.pl](mailto:wydawnictwo@prohibita.pl)

Tel: 22 425 66 68

[www.facebook.com/WydawnictwoProhibita](https://www.facebook.com/WydawnictwoProhibita)

ul. Dymińska 4

01-519 Warszawa

Sprzedaż książki w Internecie:

**multibook.pl**  
KSIEGARNIA INNA NIŻ WSZYSTKIE

# Spis treści

WPROWADZENIE	7
I. O METODZIE	17
<b>CZĘŚĆ PIERWSZA RZĄDY ABSTRAKTÓW</b>	<b>41</b>
II. KOLEJNOŚĆ I NOWOCZESNOŚĆ	43
III. RELIGIE	87
IV. TROJE MONIZMÓW I DUALIZMÓW	129
V. PRZEMIENNOŚĆ SIŁ	171
VI. ILOCZYN SPOŁECZNY	209
VII. DWA NACZELNE SZEREGI POJĘĆ	243
<b>CZĘŚĆ DRUGA PRAWA CYWILIZACJI</b>	<b>279</b>
VIII. WSPÓŁMIERNOŚĆ	281
IX. NIERÓWNOŚĆ	325
X. TRWAŁOŚĆ I EKSPANSJA	365
XI. NIE MA SYNTEZ	407
XII. MIESZANKI	445
XIII. NIŻSZOŚĆ GÓRĄ	503
XIV. CYWILIZACJA ŁACIŃSKA	545
XV. NARÓD	581

<b>CZĘŚĆ TRZECIA MAGISTRAE VITAE</b>	<b>617</b>
XVI. NAUKA STOSOWANA	619
XVII. REWOLUCYJNOŚĆ	667
XVIII. POKÓJ WIECZYSTY	687
<b>DODATEK</b>	<b>709</b>
XIX. SPRAWY POLSKIE	711
XX. DWIE CYWILIZACJE: ROSJA I POLSKA	745

## WPROWADZENIE

Niniejsza praca nosząca tytuł *Prawa dziejowe*, do właściwego odczytania i zrozumienia, wymaga nie tylko świadomości rodzaju dyskursu, w ramach którego powstała (historii – historiografii oraz filozofii), ale w pierwszej kolejności znajomości myśli i osoby autora – Feliksa Konecznego. A to postać wyjątkowa w historii nauki nie tylko polskiej, ale i światowej.

Profesor Feliks Koneczny (1862-1949) jest naszym polskim Arystotelesem<sup>1</sup>. Nikt nie wniósł tak wiele dobrego do rozumienia historii, życia społecznego, polityki, prawa, cywilizacji i kultury – jak On. Zawsze gotowy poznawać prawdę i wierny jej do końca, łączył studia historyczne z głębią realistycznych dociekań filozoficznych. Jak wyjaśniał „Teraźniejszość jest dla myślącego człowieka zagadką, bo na każdym kroku nasuwa się pytanie, dlaczego tak jest, a nie inaczej? Tę zagadkę rozwija historia. [...] Nauka o przeszłości jest tedy środkiem

---

1 Na temat osoby i dzieła F. Konecznego zob. *Feliks Koneczny*, red. P. Skrzydlewski, Kraków 2020.

i narzędziem do pracy około przyszłości; jest potrzebna dla postępu. Treścią jej nadzieja i zawody całych pokoleń; wysnuć z nich naukę dla siebie jest rzeczą współczesnych”<sup>2</sup>.

Koneczny wskazywał także, iż „rozległe studia nie nadadzą historykowi zdolności do syntezy, jeśli pozbawiony będzie wykształcenia filozoficznego (...) Póki będzie się nosić w sobie pustkę filozoficzną, dopóty będzie się niezdatnym do syntezy w jakiejś nauce (...). Filozoficzne ujmowanie spraw stanowi (obok silnego personalizmu) warunek oryginalności twórczej. Gdzie brak filozoficznych ujęć przedmiotu, tam rozwinie się tylko ułamkowość kazuistyczna, lecz nie dopisze nigdy pogląd ogólny, bo brak perspektywy naukowej. Praca uczonego nie miewa wtedy planu, nie troszcząc się o pytania: skąd – ani dokąd, pracuje się przygodnie, nie bardzo wiedząc, po co i na co. Nauka taka jest pozbawiona wiedzy; albowiem wiedza jest sumą związków zachodzących między naukami. Nie orientując się w całości, trudno wykryć syntezę, lecz z tego nie wynika, żeby jej nie było”<sup>3</sup>.

Lektura licznych prac uczonego skłania do przekonania, że to, co było przez niego badane, to dzieje zrzeseń ludzkich istniejących w przeszłości<sup>4</sup>. Uważał, że zrzeseń te mają swoje dzieje, swoją historię, która jest ciągiem zmian dokonujących się w czasie i określonej

---

2 F. Koneczny, *Dzieje Polski za Piastów*, Komorów 1997, s. 2-3.

3 F. Koneczny, *Prawa dziejowe*, Warszawa 2020, s. 24-25.

4 „Historia zajmuje się opisem tych wydarzeń, które wywierały wpływ na życie i stosunki ogółu.” F. Koneczny, *Dzieje Polski*, t. 1, *Polska za Piastów*, Komorów 1997, s. 1.



## I. O METODZIE

Czyż to nie przeciwne rozsądkowi – zapytuję się w listopadzie 1943 roku – żeby zaczynać nową książkę, nie wiedząc, gdzie wypadnie szukać noclegu na najbliższą noc, w ciągłej niepewności i o wodę, ogień i dach nad głową? W czasie, gdy dekalog zawieszono, a wszelką własność prywatną faktycznie zniesiono, kiedy w formy prawne stroi się samo tylko bezprawie? A rękopisy, przechodząc z kryjówki do kryjówki, mogą się znaleźć niespodzianie gdzieś w takim miejscu, o którym sam autor nigdy się nie dowie? Oczywiście, że rozpoczynanie niniejszej książki jest przeciwne rozsądkowi, lecz rozum składa się nie z samego tylko rozsądku. A czyż nawet da się żyć samym tylko rozsądkiem? Z reguły trzeba się nim wprowadzić kierować, ale czasem pewne zboczenie może nawet być obowiązkiem. Książka zaś staje się jakby *via maior* nad autorem, albowiem stanowi prostą konsekwencję, następstwo i wynik poprzednich mych prac.

Geneza moich dociekań o prawa dziejowe sięga jeszcze lat studenckich, kiedy to zagadnieniem praw historii „straszyłem” tego ze swych Profesorów, któremu jednemu zawdzięczam, że się czegoś

nauczyłem. Śp. Wincenty Zakrzewski, którego pamięć godna jest wielkiej czci, nie był atoli wcale zachwycony tymi zamiłowaniem, a mniemał, że przeminą one i zatoną pośród ścisłych specjalnych studiów zawodowych, od których nie stroniłem. Mistrzu jedyny! Postąpiłem według prawidła: *et haec accipienda, et alia non omittenda*<sup>1</sup>.

Śledząc od początku długimi latami przy każdej a każdej robocie, czy nie mieszczą się w niej jakie związki z ciężącym mi przez całe życie zagadnieniem zasadniczym, zbierało się ziarnko do ziarnka po cichu, w odosobnieniu. Postępując wyłącznie metodą indukcyjną, stwierdziłem po latach, że marzenie mojej młodości nie było jednak urojeniem, ale za to znalazłem się do reszty poza nawiasem polskiego świata naukowego. Przypuszczam, że po „cywilizacji bizantyńskiej” i „cywilizacji żydowskiej” wolno uważać za spełnione przewidywania, że z nauki o cywilizacji wyłoni się nowy widok historii powszechnej. W imię prawdy naukowej brnę tedy niniejszym coraz dalej.

Nauka o cywilizacji jest po prostu wyższym piętrem nauki historii, stanowiącym jej rozszerzenie, pogłębienie, a zarazem podniesienie. Teraz, gdy z kalejdoskopu zdarzeń i wydarzeń da się wreszcie wysnuwać systematycznie syntezę, wartość naukowa historii podniesie się wielokrotnie. Rozszerza się horyzont myśli historycznej tak potężnie, iż nikt nie zdoła przewidzieć kresu tego prądu umysłowego, jaki tu kiełkuje. Starczy tych robót na długo dla całej rzeszy pracowników.

Z koniecznością żelaznej konsekwencji, której nie da się uniknąć, nauka o cywilizacji narzuca pytanie: czy istnieją w historii prawa? Zasadniczy to problem dla nauki w ogóle, gdyż tuż poza nim mieści się – znów z nieuchronną konsekwencją – zagadnienie, czy podlegają

---

1 łac. 'i to zrobić należy, i tamtego nie pominąć' – przyp. red.

pewnym stałym prawom zjawiska humanistyczne w ogóle, chociaż niekoniecznie tym samym prawom, jakim podlegają zjawiska przyrodnicze. Posiada tedy nasz problem swe miejsce w wielkim zbiorniku wiedzy integralnej.

Nie brakło usiłowań o ukrycie praw dziejowych, poczynając od św. Bonawentury w XIII w. aż do Hiszpana Ortego, współczesnego nam wprawdzie, lecz używającego przestarzałej metody medytacyjnej. Sama teoria nawrotów historycznych pojawiała się pięć razy. Obmyślano założenia geograficzne, ekonomiczne, antropologiczne, prawnicze i biologiczne, lecz nie tylko nie rozwiązano zagadnienia, lecz ani nawet problemu ściślej nie ujęto. Do tego trzeba metody indukcyjnej, tej zaś trzymało się zaledwie pięciu wielkich uczonych: Bacon werulamski, Kartezjusz, Vico, Monteskiusz, Guizot. Pozytywiści wykrywali nowe punkty obserwacyjne, lecz nowy punkt widzenia nie stanowi wcale nowej metody i nawet oni brnęli w dedukcję. Powstała, niestety zawsze niefortunnie, tzw. filozofia historii i historiozofia, od której historycy trzymali się z daleka, bo składała się z założeń indywidualnie wymyślnych i samowolnych, tudzież z komplikacyjno-łamańców dedukcyjnych, czasem niezgodnych z samą logiką. Pośród metod dedukcyjnych królowała spekulacja, a najwięcej zwolenników miała prosta medytacja, zezwalająca na wszystko jak się komu co zdawało i nie krępująca nikogo w dowolnościach. Jedynie trafna metoda indukcyjna niewiele mogła zdziałać w dziele syntezy historycznej, skoro w uprawianiu jej zachodziły luki całymi pokoleniami, a po śmierci Guizota (1874) nikt a nikt nie obejmował po nim spadku.

Ostatecznie tylko niehistorycy (filozofowie, przyrodnicy, literaci) zajmowali się dociekaniem historiozoficznymi, podczas gdy hi-

storycy wyrzekli się jakichkolwiek „syntez”, wietrząc w nich płody dyletanctwa. Zapanowało u historyków wręcz wrogie usposobienie względem wszelkiej „historiozofii”, a samo wspomnienie syntezy wywoływało uśmiech szyderczo-litościwy. Tyle narobili mętu niehistorycy, iż historycy woleli odwrócić się od tych bałamuctw i ignorować całą sprawę.

Twierdzili, że na syntezę jeszcze nie czas, bo zbyt wiele ważnych ustępów historii, nawet bardzo ważnych, nie jest jeszcze dostatecznie wyświetlonych. Zanimby można było przystąpić do wysnuwania wniosków najogólniejszych, mogących wieść do syntezy, trzeba by przystąpić do systematycznego krytycznego wydawania źródeł na skalę jak największą i dopiero na ich podstawie opracować mnóstwo monografii i jeszcze więcej „przyczynków”, słowem: trzeba by wpierw stanąć mocno w specjalizacji, zanimby się dało zamarzyć o generalizowaniu, nie mówiąc już o problemie praw dziejowych.

Miano zupełną słuszość. Nasuwa się tylko pewna wątpliwość: mianowicie, że ani monografii większych, ani drobnych przyczynków źródłowych nigdy nie może być dość, nigdy przeto wszystkie ustępy historii nie zostaną wyjaśnione tak dokładnie, iżby nie dało się przyczynić czegoś do ich wystudiowania. Nigdy nie zabraknie luk, bo pokolenie następne wynajdzie nowe „kwestie” w starym temacie i wraz z tym nowe wątpliwości. Od tego jest postęp, żeby być wymagającym coraz bardziej! Wobec tego – kiedyż nadejdzie czas na syntezę? Nigdy! albowiem specjalizacja nigdy nie będzie gotowa.

Należy jednak zdać sobie sprawę z tego, że nauki historyczne byłyby narażone na zanik, że rozwój naukowy historii stałby się niemożliwością tego samego dnia, w którym specjaliści od prac źródłowych oświadczyliby nam, że nie mają już nic do roboty. Do-

prawdy, że z dwojga złego lepiej, żeby zamilkli „historiozofowie” niż monografowie, nie wyjmując ani ani najbardziej zasklepionych „przyczynkarzów”.

Dzięki wytężonej pracowitości specjalistów zmieniły się i dojrzały poglądy dotyczące wielu zasadniczych momentów historii. Dawniejsze podręczniki wydają się obecnie naiwnymi, zgoła nie naukowymi. Przeglądając je, dziwimy się, jak można było wymagać od nauki tak niewiele! Dziś w szkole średniej porusza się więcej problemów niż niegdyś w dziełach naukowych, a zarazem ujmuje się je głębiej. Zawdzięczamy to wynikom uzyskanym przez systematyczne specjalizacje.

Specjalizowaniu historycznemu przyznać należy zasługę, że posługiwało i posługuje się wyłącznie metodą indukcyjną, wykształciwszy ją znakomicie i doskonaląc ją nieustannie. Metoda historyczna doszła do takiego szczybla rozwoju, iż nie powstydy się jej dzisiejszy historyk przed żadną inną nauką; metodycznie nie stoimy bynajmniej niżej od przyrodników.

Ażeby jednak osiągnąć postęp, winne badania naukowe posuwać się w sposób dwojaki: już to przez specjalizację, już to przez generalizowanie. Każde pokolenie winno próbować syntezy. Przeciwnie jest rozumowi wyczekiwanie, aż będzie można zdobyć się na syntezę, która by nigdy nie potrzebowała już być poprawiana. Czy to specjalność, czy dociekania syntetyczne – nigdy nie są całkowicie wykończone i nie będą wyczerpane przez doskonałość swoją, póki duch badawczy w nas nie zamrze. Dopóki zdołamy myśleć krytycznie, nie przyznamy żadnemu z naszych dorobków umysłowych doskonałości, tj. stanu takiego, w którym nie ma miejsca na poprawki i uzupełnienia, nawet na przeróbki. Skoro to niemożliwe, czemuż zarzucać generalizowa-

nie dlatego, że nie będzie doskonałym? Popełniono tedy ciężki błąd naukowy.

Ogarnia nas zdumienie, że nie powzięto pomysłu, żeby metodę indukcyjną zastosować również do syntezy historycznej. Czyżby historiozofia nie mogła być indukcyjna? Sądzę, że właśnie indukcyjną być winna. Dawno już należało tego próbować. Przeszło przed półwiekiem, od lat kilkudziesięciu należało i można było pracować dalej w tym kierunku (po Guizecie), zamiast pozostawiać historię bez generalizowania. Zrobiono z niej jakąś naukę kadłubową; toteż doprowadzono do tego, że z innych działów wiedzy odzywały się coraz częściej wątpliwości, czy historia jest nauką w ogóle.

Ten kadłubowy stan rzeczy trwa nazbyt długo. Za długo specjalizacja dzierży monopol naukowy w zakresie historii. Wiadomo, że wszelki monopol mieści w sobie zarazki demoralizacji; po dłuższym czasie musiały przeto wystąpić ujemne strony wyłącznego panowania specjalistów.

Historia znajduje się od dość dawna na równi pochyłej w krajach ulegających niemieckim metodom. Wiedzie to do rozkładu. Z dociekań naukowych zrobiła się wielka fura piasku, raczej nawet pyłu piaskowego, roznoszonego na wiatrach na cztery strony świata. Z tysięcy mozolnych „przyczynków” – suma równa zeru! Ponieważ zaś umysł człowieka, choćby nawet tylko o średniej inteligencji, domaga się koniecznie rezultatów ogólnych, powstają tedy raz wraz syntezy dyletantów, a przede wszystkim politykantów. Wyręczają oni naukę, która jakby popadła w ręce siedmiu braci śpiących! Znamy wszyscy te „syntezy państwowotwórcze”. Mają one to do siebie, że się rychło znudzą, a wtedy – w pauzie – następuje moda na lekceważenie najłżejszych nawet objawów historyzmu, choćby najpopularniejsze

przybierał formy. Doszło do tego, iż ktoś powiedział, że historia jest pasmem dzieł zbrodniarzy spisanych przez idiotów! Trudno! Albo wykazać trzeba i spopularyzować prawa historyczne, ale wykazać je metodą przemawiającą do umysłu człowieka nowoczesnego, wielkiego sceptyka; albo też arena historyczna będzie uważana coraz bardziej za pole wyścigów, urządzone dla frantów, a na którym ludzie uczciwi mogą co najwyżej być widzami, i to nie bardzo pewnymi swego bezpieczeństwa osobistego.

Jeśli historyków nie stać na syntezę, w takim razie są do wyboru dwa rozwiązania tego cudacznego zaiste zagadnienia: albo ci historycy nie umieją tego, co umieć powinni – albo też historia nie jest nauką.

Najgorsze jest to, że metoda wyczerpywała się, a niezasilana nowymi sokami – jałowiała niestety. Ekskluzywność, wprowadzona przez specjalistów, zaczyna grozić stagnacją. Poczęły się, że tak powiem, nadużycia wyłączności uprawianej demonstracyjnie. Ekskluzywni specjaliści uważają się za jedynych możliwych przedstawicieli nauk historycznych, a tych, którzy zajmują się problemem syntezy, mają jakby za istoty niższego rzędu. Dziwne zaiste rozumowanie wobec faktu, że przy metodzie indukcyjnej każdy historyk musi być przede wszystkim specjalistą od pewnego odcinka dziejów, a do zagadnień systematycznych nie można przystąpić zanim przez lata całe nie popracuje się w specjalnościach przyczynków i następnie w robotach monograficznych<sup>2</sup>. Lekceważy się tedy syntetyka, pomimo, że on

---

2 *Anch'io sono pittore!* [wł. 'i ja jestem malarzem' – słowa rzekomo wypowiedziane przez sławnego włoskiego malarza Corregia, gdy w Bolonii pełen podziwu zobaczył obraz Rafaela Święta Cecylia. Fraza ta ma wyrażać samopoczucie prawdziwego artysty w obliczu mistrzowskiego dzieła sztuki innego twórcy – dop. red.]. Poczynając od polityki Zakonu Niemieckiego

także jest specjalistą; a zatem dlatego i za to, że poza specjalnością i ponad nią urwie jeszcze coś więcej.

Spotkałem się z tezą określoną wyraźnie (może też inni się z tym spotkali?), jakoby prawdziwym uczonym był ten, kogo nic zgoła nie obchodzi ponad jego specjalność. Inni tedy są uczonymi podejrzanej miary? Konsekwentnie największymi uczonymi są specjaliści jak najdrobniejsi – a zatem gdzieś ledwie na szarym końcu wiedzy mieszczą się tacy jak: Arystoteles, Bacon, Kartezjusz, Kopernik<sup>3</sup> ... i inni, których zanadto obchodziło wszystko.

Zastanawia zaś fakt, że wielkie przejawy życia zbiorowego, rozwijające się ewolucyjnie, doznają wahań w kierunku rozwoju. Wszelka ewolucja pełna jest wahań i odchyień. Ani też nauce nie dane jest piąć się w górę wprost. Postęp jej odbywa się również zakosami, a na każdym ich zakręcie wywieszona jest tablica ze sławnym Mickiewiczowskim: „Uczyć się trzeba, minął już wiek złoty!”.

Rozwijają się bowiem nauki dzięki temu, że uczeni sami od siebie wymagają coraz więcej, że muszą coraz więcej umieć. Każdy zakos łączy się z jakimiś zmianami metody, a zatem wymaga nowych uzupełnień w wykształceniu uczonego. Trzeba zatem uczyć się z pokolenia na pokolenie coraz więcej; tym bardziej, jeżeli zachodzi gdzie potrzeba reformy.

---

w latach 1389 i 1390 (Ak. Um. 1889) aż do *Sprawy księcia Geldryi 1389 r. i Vitoldianów* itp. („Ateneum Wileńskie”, 1931), mógłbym wyliczyć tytuły podobnych swych „dzieł” zaiste tuzinami. Zależy mi na tym wylegitymowaniu się, aźby potem nie zdawało się komuś, że występuje zasadniczo przeciwko specjalizacji i specjalistom! Ale to moja familia!

3 Lekarz, teolog, ekonomista, poeta i... astronom.



Czyż obecnie nie wymaga się od abiturienta<sup>4</sup> gimnazjalnego więcej wiadomości, niż ich posiadał i posiadać mógł uczony średniowieczny? Różnica wiedzy ilościowa olbrzymia, co atoli nie ma nic do jakości. Żaden abiturient nie uważa się za uczonego, a mądrość uczonych średniowiecznych stanowi dotychczas podstawę jego rozmnożonej wiedzy.

Jakżeż nieznaczną wyda się dzisiaj wiedza najwybitniejszych historyków XVII wieku. Nie stają się oni przez to mniejszymi w naszych oczach, lecz czyż można by traktować dziś poważnie historyka, którego wiedza ilościowa nie byłaby większa od tamtych mistrzów? Byłby zacofaniem. W takim właśnie jesteśmy obecnie położeniu, iż musimy powiększyć (i to znacznie) samą ilość naszej wiedzy, jeżeli nie chcemy wprowadzić zacofania w dziedzinie naszej ulubionej nauki: historii.

Grozi jej upadek z powodu nadużyć specjalizacji. Należy zwrócić się energicznie przeciwko hegemonii tego kierunku w nauce, gdyż ekskluzywność swą doprowadził już do absurdu. Narobiło się specjalności w specjalnościach! Skoro zaś jest się tym większym uczy-nym, im drobniejszym specjalistą, więc doszło do tego, że biografia czyjaś jest tematem zbyt rozległym; toteż pojawili się specjaliści od młodości, od lat szkolnych lub od starości danego bohatera, specjaliści ekskluzywni, którzy nie zrobiliby ni kroku poza często cząsteczkową ultraspecialność, bo utraciliby we własnych oczach nimbus arcyuczoności. Doszło do tego, że historyk nie weźmie do ręki książki, której temat znajduje się o 50 lat (a nawet mniej) wprzód lub wstecz od jego ultraspecialności.

---

4 abiturient [łac. *abituriens* 'mający odejść'], uczeń kończący szkołę średnią; maturzysta – przyp. red.

Stanęła zasada, że specjalistę inny specjalista nie obchodzi nic a nic; każdy z nich jest sam sobie „sterem, żeglarzem, okrętem”. W rezultacie wychodzi na to, że nie tylko nie mają pojęcia o stanie nauki, lecz głoszą sami, że całokształt ich nie zajmuje. Wynika z tego, że historyka „prawdziwie” uczonego historia nic nie obchodzi.

Takie specjalizowanie (mówię ciągle o ekskluzywnym) zawisłe w powietrzu, bez związku z czymkolwiek, nie bardzo przyczynia się do rozwoju nauki. Ogranicza się ono zazwyczaj do samego stwierdzenia faktów, a zatem – zatrzymuje się na pierwszym szczeblu pracy historycznej i nie zdoła ruszyć dalej. To nie są historycy, lecz historyjkarze, terminatorzy cechu historycznego. Nie zdołają wejść na szerszą arenę skłębionych liczniejszych faktów i w temacie rozleglejszym błąkaliby się jak w błędniku. Jeżeli kto dłuższy czas przebył w tym ograniczeniu myśli, ciężko mu potem wydostać się do światła.

Klątwa historyjkarstwa dosięga nawet niewinnych. Mamy historyków umiejących pracować w rozmaitych okresach, i to zawsze dobrze, lecz z każdego tematu robią posiekankę. Czasem nawet prace czyjeś aż wprasają się, żeby snuć z nich wnioski historyczne, jakoby sumę pozycji jego własnego rachunku – lecz on sam tego zrobić nie potrafi.

W atmosferze naukowej współczesnych nauk historycznych tkwi coś, co przeszkadza pełnemu rozwojowi zdolności. Uczni zatrzymują się na krytycznym stwierdzeniu i opisanie faktu, po czym wnoszą się co najwyżej do „przyczynkowego związku zdarzeń” (celowości nie rozważają nigdy). Chcąc jednak z historyjkarstwa przejść do historii, należy określić rzędne (że użyję wyrażenia z geometrii analitycznej) dziejowe danego faktu, stanowisko jego w pochodzie dziejów – trzeba tedy znać „całokształt”.

Historyk powinien przez całe życie uczyć się historii. Niestety, większość: poświęca życie zapominaniu tego, co umiało do ostatniego egzaminu. Niechby też specjaliści przestali chodzić samopas i wzajemnie się ignorować, a zajaśniałby wnet ożywczy rozwój. Niechby czytali się wzajemnie. Z początku będzie to może „ciężko”, lecz zaręczam, że można się przyzwyczaić.

Wzajemnym ignorowaniem się ograniczają ultraspecjaliści coraz bardziej swą wiedzę, jak gdyby chodziło właśnie o to, żeby być ignorantem historii – z wyjątkiem swego zakątka, o ile możliwości jak najdrobniejszego. I ten zakątek uprawiany bywa bez zrozumienia rzeczy, często wręcz bez sensu, pozbawiony tła dziejowego, jakby luźne wyrazy wyrwane skądś, z jakiegoś zdania, bez uwzględnienia kontekstu, nawet bez jego znajomości. Pracując w ten sposób, zatracają stopniowo to i owo z metody samej, gdyż przy okrojonym temacie nie ma sposobności, żeby używać wszystkich działów metody, wszystkich jej narzędzi, których się nauczył niegdyś w seminarium. Narzędzia nieużywane rdzewieją. Toteż nierzadko wypadnie z przykrością stwierdzić upadek nawet tej metody jedynej, jaka zapełnia cały arsenał historyków, mianowicie: krytyki źródeł i krytycznych sposobów wyzyskiwania ich.

Upadek tym fatalniejszy, że ta metoda, choćby najlepiej ovladana, już nie wystarcza. Znać to na tych historykach, którzy zwalczają własnym przykładem przesadną specjalizację i jakby umyślnie przerzucają się do tematów coraz nowych. Nagromadzi się rozpraw, rozprawk i przyczynków, nie pomyślawszy o jakimkolwiek związku pomiędzy nimi. Każda praca stanowi oddzielne królestwo – podczas gdy w historii wszystko ma związek ze wszystkim. Historycy tracą coraz bardziej zdolność do orientowania się w historii.